

Robin Wall Kimmerer

# PIEŚŃ ZIEMI

RDZENNA MĄDROŚĆ, WIEDZA NAUKOWA  
I LEKCJE PŁYNĄCE Z NATURY

tłumaczenie  
Monika Bukowska

**znak** *littera  
nova*

KRAKÓW 2020

## GRAMATYKA ŻYWOTNOŚCI



*Aby stać się rdzennym mieszkańcem jakiegoś miejsca,  
musimy się najpierw nauczyć mówić tamtejszym  
językiem.*

Przychodzę tutaj, aby posłuchać, usadowić się wygodnie między korzeniami, w miękkim zagłębieniu z sosnowych igieł, oprzeć plecy o kolumnę białej sosny i wyłączyć głos w mojej głowie, dopóki nie usłyszę głosów na zewnątrz: szumu wiatru w gałęziach, wody spływającej po kamieniu, stukania kowalika, gryzoni ryjących w ziemi, spadających bukwi, komara w moim uchu i czegoś jeszcze – czegoś, co nie jest mną, co nie używa języka, tego bezsłownego bycia innych, w którym nigdy nie jesteśmy sami. Po biciu serca mojej matki to był mój pierwszy język.

Mogłabym spędzić cały dzień na słuchaniu. I całą noc. Rano zaś, choć moje ucho by tego nie zarejestrowało, mogłabym zobaczyć kremowobiałego grzyba, którego nie było tu poprzedniego wieczora, a który przebił się spod ściółki z sosnowego igliwia, z ciemności do światła, wciąż lśniący od wilgoci. *Puhpowee.*

Kiedy nastawiamy uszu na łonie natury, jesteśmy świadkami rozmów w obcym języku. Myślę teraz, że pragnienie zrozumienia tego języka, który słyszę w lesie, doprowadziło mnie do nauki; chciałam się w trakcie studiów nauczyć płynnie mówić językiem botanicznym.

Językiem, którego, tak *à propos*, nie należy mylić z językiem roślin. Nauczyłam się tam jednak innego języka, języka uważnej obserwacji, intymnego słownictwa, które potrafi nazwać każdą najdrobniejszą część. Aby coś nazwać i opisać, musisz to najpierw zobaczyć, a nauka doskonali dar widzenia. Szanuję siłę języka, który stał się dla mnie drugą mową. Ale pod bogactwem słownictwa i mocą opisową czegoś brakuje, tego, co ogarnia człowieka, kiedy słucha świata. Nauka jest językiem dystansu, który sprowadza istotę żywą do sumy składających się na nią części – to język przedmiotów. Język, jakim mówią naukowcy, choć precyzyjny, opiera się na oczywistym błędzie w gramatyce, na pominięciu. Coś bardzo ważnego zaginęło w tłumaczeniu z ojczystych języków tego kontynentu.

Przedsmak brakującego języka dało mi słowo *pubpowee*. Natknęłam się na nie w rozprawie Keewaydinoquay, etnobotaniczki z plemienia Anishinaabe, o tradycyjnym indiańskim wykorzystaniu grzybów. *Pubpowee*, jak wyjaśniła, tłumaczy się jako „siłę, która w nocy wypycha grzyby z ziemi”. Jako biolog byłam zaskoczona, że takie słowo w ogóle istnieje. Mimo całego bogactwa słownictwa technicznego zachodnia nauka nie dysponuje takim terminem, nie ma nazw, które by odzwierciedlały tę tajemnicę. Można by pomyśleć, że kto jak to, ale biolodzy powinni dysponować mnóstwem określeń na opisanie życia. W języku naukowym terminologia służy jednak do wytyczania granic naszego poznania. To, co leży poza naszym zrozumieniem, pozostaje nienazwane.

W trzech sylabach tego nowego słowa ujrzałam cały proces wnikliwej obserwacji w wilgotnym porannym lesie, na podstawie której sformułowano teorię niemającą angielskiego odpowiednika. Twórcy tego słowa zrozumieli świat istot żywych, pełen niewidzialnej energii, która ożywia wszystko. Od wielu lat pielęgnuję je jako talizman i odczuwam tęsknotę za ludźmi, którzy nadali nazwę siłę życiowej grzybów. Język zawierający słowo *pubpowee* to język, którym chciałam mówić. Kiedy więc dowiedziałam się, że słowo określające podnoszenie się, wyłanianie, pochodzi z języka moich przodków, uznałam to za znak.

Gdyby historia potoczyła się inaczej, prawdopodobnie mówiłabym teraz językiem bodewadmimwin, czyli potawatomi, spokrewnionym z anishinaabe. Ale, podobnie jak wiele z trzystu pięćdziesięciu rdzennych języków obu Ameryk, potawatomi jest zagrożony, ja natomiast mówię po angielsku. Polityka asymilacji osiągnęła swój cel, ponieważ moją – i nie tylko moją – szansę na usłyszenie tego języka dosłownie wymyło z ust indiańskich dzieci w rządowych szkołach, gdzie używanie mowy ojczystej było zabronione. Dzieci takich jak mój dziadek, którego odebrano rodzinie, gdy miał zaledwie dziewięć lat. Historia doprowadziła do rozproszenia nie tylko naszego języka, ale i naszego plemienia. Dziś mieszkam z dala od rezerwatu Potawatomi, więc nawet gdybym umiała mówić w tym języku, nie miałabym z kim porozmawiać. Ale kilka lat temu, podczas naszego rocznego spotkania plemennego, odbyła się lekcja języka, a wtedy wślizgnęłam się do namiotu, aby jej posłuchać.

Wszyscy byli ogromnie podekscytowani tymi zajęciami, ponieważ po raz pierwszy każdy członek naszego plemienia mówiący płynnie tym językiem miał wystąpić w roli nauczyciela. Kiedy zaproszono ich do kręgu ze składanych krzeseł, większości trochę to zajęło – poruszali się o lasce, podpierali na balkonikach albo podjeżdżali na wózkach inwalidzkich, tylko nieliczni szli całkowicie o własnych siłach. Policzyłam ich, kiedy siadali na krzesłach. Dziewięcioro. Dziewięć osób płynnie mówiących językiem potawatomi. Na całym świecie. Nasz język, rozwijany przez tysiąclecia, został zredukowany do tych dziewięciu krzeseł. Słowa, które wychwalały piękno stworzenia, przekazywały dawne opowieści, kołysały moich przodków do snu, spoczywają dziś w głowach dziewięciu ludzi, którzy bynajmniej nie są nieśmiertelni. Każdy z nich po kolei zwraca się do małej grupki potencjalnych uczniów.

Mężczyzna z długimi siwymi warkoczami opowiada, jak matka ukryła go, gdy indiańscy agenci przyszli zabrać dzieci. Uniknął wywiezienia do szkoły, ukrywając się w chaszczach nad potokiem, którego szum zagłuszył jego płacz. Wszystkich pozostałych zabrano do

internatu, gdzie płukano im usta mydłem, o ile nie gorzej, za „mówienie tym brudnym indiańskim językiem”. On został w domu i kiedy dorastał, zwracał się do roślin i zwierząt imionami, jakie nadał im Stwórca, i dlatego stoi dziś wśród nas jako strażnik języka. Walec asymilacji przetoczył się i dokonał dzieła zniszczenia. Jego oczy błyszczą, gdy mówi nam:

– To na nas kończy się ta droga. Jesteśmy wszystkim, co zostało. Jeśli wy, młodzi, nie nauczycie się go, ten język wymrze. Misjonarze i amerykański rząd odniosą ostateczne zwycięstwo.

Stara kobieta z kręgu popycha swój balkonik w stronę mikrofonu.

– Nie tylko słowa przepadną – stwierdza. – Język jest sercem naszej kultury. To z niego wypływają nasze myśli, nasz sposób patrzenia na świat. A ten jest zbyt piękny, by do jego objaśniania używać języka angielskiego.

*Puhpowee.*

Siedemdziesięcioletni Jim Thunder, najmłodszy ze znających nasz język, korpulentny, poważnie wyglądający mężczyzna o brązowej skórze, przemawiał tylko w potawatomi. Zaczął spokojnie i uroczystie, ale potem dał się ponieść słowom, zamasyżycie gestykulował, a jego głos wznosił się jak wiatr w gałęziach brzoź. Był coraz bardziej ożywiony, wstawał z krzesła, utrzymując nas w niemym zachwycie, chociaż prawie nikt nie rozumiał ani słowa. Zrobił pauzę, jakby doszedł do puenty swojej opowieści, i wyczekująco spojrzał na widownię. Jedna ze starszych kobiet siedzących za jego plecami zaczęła chichotać, zakrywając usta, a surowa twarz mówcy nagle rozjaśniła się szerokim, promiennym uśmiechem. Związał się ze śmiechu, a kobiety aż trzymały się za boki i ocierały łzy, podczas gdy reszta z nas przyglądała im się ze zdziwieniem. Kiedy wreszcie śmiechy ucichły, mężczyzna odezwał się po angielsku:

– Co stanie się z dowcipem, gdy nikt już nie będzie w stanie go zrozumieć? Jak samotne będą te słowa, kiedy ich moc zniknie? Jaki czeka je los? Dołączą do historii, których nikt już nigdy nie opowie.

I tak oto mój dom pokryły samoprzylepne karteczki zapisane słówkami w innym języku, jakbym się uczyła przed wyjazdem za granicę. Tyle że ja nigdzie nie wyjeżdżam, przeciwnie: wracam do domu.

*Ni pi je ezhyayen?* – pyta mała żółta karteczka na drzwiach kuchennych. Mam zajęte ręce i samochód jest już na chodzie, ale przekładam torbę na drugie biodro i zatrzymuję się, by odpowiedzieć. *Odanek nde zhya.* Jadę do miasta. I owszem, jadę do pracy, na zajęcia, potem na rozmaite spotkania, do banku, do sklepu. Mówię przez cały dzień, a czasem piśzę przez cały wieczór w pięknym języku, w którym zostałam wychowana, tym samym, którego używa siedemdziesiąt procent ludzi na kuli ziemskiej, języku uważanym za najbardziej przydatny, z najbogatszym słownictwem we współczesnym świecie. Po angielsku. Kiedy wieczorem wracam do zacisza swojego domu, na drzwiach szafy przy wejściu wisi wierna karteczka samoprzylepna. *Gisken I gbiskewagen!* Więcej zdejmuję płaszcz.

Gdy gotuję obiad, wyciągam z szafek naczynia z napisami *emkwa-nen* czy *nagen*. Jestem teraz kobietą, która mówi w języku potawatomi do przedmiotów gospodarstwa domowego. Kiedy dzwoni telefon, ledwo spoglądam na karteczkę, gdy *dopnen giktogan*. I bez względu na to, czy jest to adwokat, czy mój przyjaciel, rozmawiamy po angielsku. Mniej więcej raz na tydzień dzwoni moja siostra z Zachodniego Wybrzeża i zaczyna: *Bozho. Mokthhewenkwe nda* – tak jakby musiała się przedstawiać. Niby kto inny mógłby się do mnie zwracać w potawatomi? Choć nazywanie tego mówieniem to spore nadużycie. Tak naprawdę rzucamy do siebie przekręcone zwroty będące karykaturą normalnej rozmowy. Jak się masz? Ja mam się dobrze. Jedzie do miasta. Widzi ptaka. Czerwony. Smażony placek dobry. Brzmi to jak kwestie Indianina Tonto w *Jeźdźcu znikąd*. „Ja próbować mówić indiańska mowa”. W rzadkich przypadkach, kiedy rzeczywiście uda nam się w miarę spójnie ująć jakąś myśl, aby wypełnić luki, wrzucamy tam hiszpańskie słowa poznane w szkole średniej, i ten dziwny nowy język nazywamy hispanowatomi.

We wtorki i czwartki kwadrans po południu według czasu w Oklahomie dołączam do zajęć online z języka potawatomi, prowadzonych na żywo z centrali plemiennej. Zwykle bierze w nich udział około dziesięciu osób z całego kraju. Razem uczymy się liczyć i mówić: „Podaj mi sól”. Ktoś pyta, jak można to wyrazić w formie grzecznościowej. Nasz nauczyciel, Justin Neely, młody człowiek, który poświęcił się wskrzeszaniu języka potawatomi, wyjaśnia, że chociaż istnieje kilka słów na „dziękuję”, nie ma żadnego, które by oznaczało „proszę”. Istotą jedzenia było to, że ludzie się nim dzielili, nie wymagało więc żadnej dodatkowej grzeczności. Było po prostu kulturą oczywistością, że człowiek prosił o coś z szacunkiem. Misjonarze potraktowali brak tego słowa jako kolejny dowód prostactwa Indian.

Przez wiele wieczorów, zamiast zajmować się ocenianiem prac studentów czy płaceniem rachunków, siedzę przy komputerze i rozwiązuję ćwiczenia z języka potawatomi. Po kilku miesiącach mam opanowane słownictwo na poziomie przedszkola i mogę bez trudu dopasować zdjęcia zwierząt do ich indiańskich nazw. Przypomina mi to, jak czytałam książki z obrazkami moim dzieciom: „Czy możesz wskazać wiewiórkę? Gdzie jest króliczek?”. Przez cały czas powtarzam sobie, że tak naprawdę nie mam na to czasu, a poza tym i tak nie muszę wiedzieć, jak się mówi „okoń” albo „lis”. Skoro nasze plemię żyje rozproszone po całym świecie, z kim miałabym rozmawiać?

Proste zwroty, których się uczę, nadają się w sam raz dla mojej suczki. Stój! Przynies! Cisza! Nie wolno! Ale ponieważ prawie nie reaguje na te polecenia po angielsku, nie ma sensu robić z niej dwujęzycznego psa. Jeden ze studentów, który często się pojawiał na moich wykładach, zapytał mnie kiedyś, czy mówię w swoim rodzimym języku. Kusiło mnie, by powiedzieć: „Och tak, w domu rozmawiamy w potawatomi” – ja, mój pies i samoprzylepne karteczki. Nauczyciel mówi nam, byśmy się nie zniechęcali, i dziękuje za każdym razem, gdy wypowiadamy jakieś słowo – za tchnienie życia w ten język, nawet jeśli wymawiamy tylko jeden wyraz. „Ale nie mam z kim

porozmawiać” – skarżę się. „Nikt z nas nie ma – pociesza mnie. – Ale kiedyś to się zmieni”.

Dlatego sumiennie uczę się słówek, choć trudno mi dojrzeć „serce naszej kultury” w tłumaczeniu słów „łóżko” i „zlew” na potawatomi. Nauka rzeczowników była dosyć łatwa – w końcu nauczyłam się tysięcy botanicznych nazw łacińskich i terminów naukowych. Uznałam, że to nie może się zbyt różnić; chodzi tylko o zamianę wyrazów jeden do jednego, kwestia zapamiętania. I jest to prawda przynajmniej na papierze, na którym widać litery. Słuchanie języka to zupełnie inna sprawa. W naszym alfabecie jest mniej liter, więc dla początkującego różnica między niektórymi słowami jest często subtelna. Dzięki pięknym zbitkom spółgłosek „zh” i „mb” oraz „shwe”, „kwe” i „mshk” nasz język brzmi jak szum wiatru w sosnach i szmer strumyka na kamieniach, dźwięki, do których nasze uszy mogły być lepiej dostrójone w przeszłości, ale nie teraz. Aby nauczyć się go ponownie, trzeba uważnie słuchać.

Oczywiście, by naprawdę mówić w jakimś języku, trzeba znać czasowniki – i tutaj moja przedszkolna biegłość w nazywaniu rzeczy na niewiele się zdaje. Angielski jest językiem opartym na rzeczownikach, co w sumie pasuje do kultury, która ma obsesję na punkcie rzeczy. Tylko trzydzieści procent angielskich słów to czasowniki, w potawatomi natomiast odsetek ten wynosi siedemdziesiąt procent. Co oznacza, że siedemdziesiąt procent słów trzeba odmieniać przez różne czasy i tryby, które trzeba opanować.

Języki europejskie często przypisują rzeczownikom rodzaj, ale potawatomi nie dzieli świata na męski i żeński. Zarówno rzeczowniki, jak i czasowniki mogą być ożywione albo nieożywione. Do słowa „osoba” dodaje się zupełnie inne określenia niż do wyrazu „samolot”. Zaimki, rodzajniki, czasowniki – wszystkie te części mowy, które były dla mnie zmurą na lekcjach angielskiego w szkole średniej, są w potawatomi odpowiednio dostosowane do tego, by w odmienny sposób wyrażać się o świecie żywym i martwym. Różne formy czasownika, różne formy liczby mnogiej, wszystkiego używa się inaczej w zależności od tego, czy to, o czym się mówi, żyje.

Nic dziwnego, że zostało się tylko dziewięć osób mówiących tym językiem! Staram się, ale jego złożoność przyprawia mnie o ból głowy, a moje ucho ledwo odróżnia słowa, które oznaczają zupełnie różne rzeczy. Jeden z nauczycieli zapewnia nas, że wszystko przyjdzie z czasem, ale inny, starszy, przyznaje, że bliskie podobieństwa są nieodłączną częścią tego języka. Jak przypomina nam Stewart King, strażnik wiedzy i fantastyczny nauczyciel, Stwórca chciał, żebyśmy się śmiali, więc humor jest celowo wbudowany w składnię. Nawet niewielkie omsknienie się języka może przekształcić „potrzebujemy więcej drewna” na „zdejmij ubranie”. Dowiedziałam się też, że mistycznego słowa *puhpowee* używa się nie tylko w odniesieniu do grzybów, ale także niektórych innych roślin, które tajemniczo wyrastają podczas nocy.

Raz dostałam od siostry na Gwiazdkę zestaw magnesów na lodówkę w języku odżibwa, czyli anishinaabemowin, blisko spokrewnionym z potawatomi. Rozłożyłam je na stole w kuchni, szukając znajomych słów, lecz im dłużej patrzyłam, w tym większe wpadałam przygnębienie. Wśród stu lub więcej płytek było tylko jedno słowo, które rozpoznałam: *megwech*, dziękuję. Śladowe poczucie sukcesu po miesiącach nauki wyparowało w jednej chwili.

Pamiętam, jak przeglądałam przesłany przez nią słownik języka odżibwa, próbując rozszyfrować magnesy, ale słowa nie zawsze były zapisywane tak samo, do tego czcionka była zbyt mała i istniało zbyt wiele odmian jednego słowa. Czułam, że mnie to po prostu przerasta. Neurony w moim mózgu zawiązały się w supełki i im bardziej się starałam, tym mocniej się zaciskały. Strony rozmazywały mi się przed oczami, a mój wzrok skupił się na jednym słowie – czasowniku, rzecz jasna: „być sobotą”. Pff! Rzuciłam książkę. Od kiedy to sobota jest czasownikiem? Wszyscy wiedzą, że to rzeczownik. Chwyciłam słownik, przewróciłam kolejne strony i okazało się, że wszystkie podobne wyrazy były czasownikami: „być wzgórzem”, „być czerwonym”, „być długim, piaszczystym odcinkiem plaży”, a potem mój palec spoczął na słowie *wiikwegamaa*: „być zatoką”. Co za absurd! – jęknęłam. Nie ma powodu, aby tak to komplikować. Nic dziwnego, że nikt nie

mówi tym językiem. Jest zawiły, nie da się go się nauczyć, a co więcej, wszystko w nim jest nie tak. Zatoka, czyli miejsce, podobnie jak osoby czy rzeczy, jest przecież rzeczownikiem, a nie czasownikiem. Byłam gotowa skapitulować. Nauczyłam się kilku słów, spełniłam swój obowiązek wobec języka, który odebrano mojemu dziadkowi. Och, duchy misjonarzy z rządowych szkół musiały zacierać ręce z radości na widok mojej frustracji. „Zaraz się podda” – mówiły.

A potem, przysięgam, usłyszałam trzeszczenie na synapsach. Prąd elektryczny z sykiem przebiegł mi przez ramię, przez palec i praktycznie wypalił dziurę w stronie, na której znajdowało się to słowo. W tamtym momencie poczułam zapach wody w zatoce, zobaczyłam, jak uderza o brzeg, i usłyszałam, jak wprawia piasek w ruch. Zatoka jest rzeczownikiem tylko wtedy, kiedy woda jest martwa. Zatoka jako rzeczownik została opisana z punktu widzenia człowieka, uwięziona między brzegami i cała zawarta w tym jednym słowie. Ale czasownik *wiikwegamaa* – „być zatoką” – zwraca wodzie wolność i pozwala jej żyć. „Być zatoką” kryje w sobie cud tego, że w tej chwili żywa woda postanowiła schronić się między tymi brzegami, porozmawiać z korzeniami żywotnika i stadem małych nurogęsi. Mogła zrobić inaczej – stać się strumieniem, oceanem lub wodospadem, na co również są czasowniki. Być wzgórzem, być piaszczystą plażą, być sobotą – to czasowniki w świecie, w którym wszystko żyje. Woda, ziemia, a nawet dzień – język jest zwierciadłem, w którym odbija się ożywienie świata, życie pulsujące we wszystkim, w sosnach, kowalikach i grzybach. To jest język, który słyszę w lesie; to język, który pozwala nam mówić o tym, co się dzieje wokół nas. W ruinach starych szkół duchy misjonarzy myjących dzieciom usta zwiesiły głowy w poczuciu klęski.

To jest gramatyka żywotności. Wyobraź sobie swoją babcię, która stoi przy kuchni w fartuchu, a ty mówisz o niej: „Patrz, to robi zupełnie siwe włosy”. Możemy śmiać się z takiego błędu, ale też się przed nim wzdragamy. W języku angielskim nigdy nie określamy członka naszej rodziny, a nawet obcej osoby, jako „tego”. To byłby przejaw całkowitego braku szacunku. „To” okrada osobę z indywidualności

i pokrewieństwa, uprzedmiatawia ją. Tak więc w potawatomi i większości innych indiańskich języków do żywego świata zwracamy się tak, jak do członków własnej rodziny. Ponieważ one są naszą rodziną.

Na kogo nasz język rozszerza gramatykę żywotności? Żywotne są oczywiście rośliny i zwierzęta, ale w trakcie nauki odkrywam, że dla ludu Potawatomi definicja tego, co to znaczy być ożywionym, odbiega od listy atrybutów żywych istot, których nauczyliśmy się na podstawach biologii. W potawatomi skały są żywe, podobnie jak góry, woda, ogień i miejsca. Istoty nasycone duchem, nasze święte lekarstwa, nasze pieśni, bębny, a nawet opowieści – wszystko to jest ożywione. Lista obiektów nieożywionych wydaje się krótsza, wypełniają ją przedmioty tworzone przez ludzi. O nieożywioną istotę, na przykład o stół, pytamy: „Czy m jest to coś?”. I odpowiadamy: „*Dopwen yawe*”. To coś jest stołem. Ale mówiąc o jabłku musimy zapytać: „K i m jest ta istota?”. I odpowiedzieć: „*Mshimin yawe*”. Ta istota jest jabłkiem.

*Yawe* – żywotne „być”. Ja jestem, ty jesteś, on/ona/ono jest. Mówiąc o istotach przenikniętych życiem i duchem, musimy użyć *yawe*. Cóż za niezwykła językowa zbieżność, że Jahwe ze Starego Testamentu i *yawe* z Nowego Świata wychodzą z ust przepełnionych czcią! Czy „być” nie oznacza po prostu: zawierać w sobie tchnienie życia, być dzieckiem Wszechświata? Język przypomina nam na każdym kroku nasze pokrewieństwo z całym ożywionym światem.

Angielski nie daje nam wielu narzędzi do wyrażenia szacunku dla żywych istot. Tutaj jest się albo człowiekiem, albo rzeczą. Gramatyka zmusza nas do wyboru: możemy albo zredukować istotę niebędącą człowiekiem do bycia „tym”, albo określić jej płeć. Gdzie są słowa na określenie zwyczajnego istnienia innej żywej istoty? Gdzie nasze *yawe*? Mój przyjaciel Michael Nelson, etyk, który skupia się na rozważaniach dotyczących rozszerzania norm moralnych na inne istoty, opowiedział mi o swojej znajomej, biologce terenowej, która pracuje pośród innych istot żywych. Większość jej towarzyszy nie jest dwunożna i dlatego jej język uległ zmianie, przystosowując się do jej relacji. Kiedy klęka przy drodze, by obejrzeć ślady łosia, stwierdza: „Ktoś już szedł tędy

dzisiaj rano”. „Ktoś siedzi na moim kapeluszu” – mówi, strząsając bąka ślepaka. Ktoś, nie coś.

Kiedy jestem z moimi studentami w lesie, gdzie pokazuję im dary roślin i uczę ich nazw, staram się uważać na to, jak mówię, i posługiwać się jednocześnie językiem nauki oraz gramatyką żywotności. Chociaż wciąż muszą się uczyć naukowych funkcji roślin i ich łacińskich nazw, ja staram się nauczyć ich też tego, by patrzyli na świat jako na dom zamieszkiwany przez żywe istoty niebędące ludźmi, aby wiedzieli, że – jak napisał ekoteolog Thomas Berry – „trzeba traktować wszechświat jako wspólnotę podmiotów, a nie zbiór przedmiotów”.

Pewnego popołudnia na zajęciach ekologii terenowej siedziałam ze studentami nad *wiikwegamaa* i opowiedziałam im o idei ożywionego języka. Pewien młody człowiek, Andy, mocząc nogi w przejrzystej wodzie, zadał ważne pytanie.

– Zaraz, zaraz – odezwał się, próbując zrozumieć to językowe rozróżnienie. – Czy to nie oznacza, że mówienie i myślenie po angielsku w pewien sposób daje nam pozwolenie na brak szacunku wobec natury przez odmówienie wszystkim innym prawa do bycia osobami? Czy wszystko nie wyglądałoby inaczej, gdybyśmy niczego nie określali jako „to”?

Był oszołomiony tą koncepcją i powiedział, że stała się ona dla niego przebudzeniem. Mnie się jednak wydaje, że była raczej przypomnieniem. Ożywienie świata to coś, co już znamy, ale język żywotności jest bliski wyginięcia – nie tylko u Indian, ale w ogóle. Małe dzieci mówią o roślinach i zwierzętach, jakby były ludźmi, rozciągając na nie cechy przypisywane człowiekowi, takie jak osobowość, wola i współczucie, dopóty, dopóki nie nauczymy ich innego podejścia. Szybko sprowadzamy je na właściwą drogę i każemy im o tym zapomnieć. Kiedy mówimy im, że drzewo to nie „ktoś”, ale „coś”, robimy z klonu przedmiot. Stawiamy między nami barierę, zwalniając się z moralnej odpowiedzialności i otwierając drzwi do wyzysku. Mówienie „to” zamienia żyjącą ziemię w „zasoby naturalne”. Jeśli klon jest „czymś”, możemy sięgnąć po piłę łańcuchową. Jeśli zaś jest „kimś”, zastanowimy się dwa razy.

Inna studentka miała następującą odpowiedź na argument Andy'ego:  
– Przecież nie możemy powiedzieć o roślinach „on” albo „ona”.  
To byłby antropomorfizm.

To wykształceni biolodzy, którym wprost przykazano, aby nigdy nie przypisywali ludzkich cech badanemu obiektowi, innemu gatunkowi. To ciężki grzech, który prowadzi do utraty obiektywizmu.

– To również brak szacunku wobec zwierząt – dodała jeszcze Carla. – Nie powinniśmy projektować na nie naszego postrzegania świata. One robią to na swój sposób, nie są tylko ludźmi w futrzanych ubrankach.

– Ale samo to, że nie myślimy o nich jak o ludziach, nie oznacza, że nie są równorzędnymi bytami – odparł Andy. – Czy jeszcze bardziej pozbawione szacunku nie jest założenie, że jesteśmy jedynym gatunkiem, który może być uważany za „osobę”?

Arogancja języka angielskiego polega na tym, że jedynym sposobem, by zostać zaklasyfikowanym do „żywotnych”, by zasługiwać na szacunek i moralną troskę, jest bycie człowiekiem.

Mój znajomy nauczyciel języka wyjaśnił mi, że gramatyka to po prostu sposób, w jaki wyrażamy relacje między różnymi częściami mowy. Możliwe, że odzwierciedla również nasze relacje z innymi. Możliwe, że gramatyka żywotności może nas doprowadzić do zupełnie nowego sposobu bycia w świecie, gdzie inne gatunki traktuje się jako suwerenne grupy, w świecie, w którym panuje demokracja gatunków, a nie tyrania jednego, gdzie obowiązuje moralna odpowiedzialność wobec wody i wilków oraz system prawny, który uznaje pozycję innych stworzeń. Diabeł tkwi w zaimkach.

Andy ma rację. Nauka gramatyki żywotności mogłaby nas powstrzymać przed bezmyślnym wykorzystywaniem ziemi. Ale nie tylko o to chodzi. Słyszałam, jak nasi starsi udzielają rad typu: „Idź do stojących ludzi” lub „Powinieneś spędzić trochę czasu z ludźmi Bo-  
brami”. Przypominają nam w ten sposób, że inne istoty mogą być naszymi nauczycielami, strażnikami wiedzy, przewodnikami. Wyobraźcie sobie spacer po świecie licznie zamieszkałym przez ludzi Brzozy,

ludzi Niedźwiedzi, ludzi Skały, istoty, o których myślimy i mówimy jako o osobach zasługujących na nasz szacunek i na to, by je włączyć do świata ludzi. My, Amerykanie, nie chcemy się uczyć nawet języków, którymi posługują się inni ludzie, a co dopiero języków innego gatunku. Ale wyobraźcie sobie, jakie by to otwierało możliwości. Wyobraźcie sobie, jaki mielibyśmy dostęp do różnych perspektyw, jakie rzeczy moglibyśmy zobaczyć innymi oczami, całą tę mądrość, która nas otacza. Nie musimy wszystkiego wymyślać sami: otaczają nas nauczyciele i inne formy inteligencji. Wyobraźcie sobie, o ile mniej samotny byłby świat.

Z każdym słowem, którego się uczę, odczuwam wdzięczność dla naszej starszyny, dzięki której ten język przetrwał i która przekazała nam jego poezję. Nadal walczę z czasownikami, właściwie nie umiem mówić, a największej biegłości nabrałam w posługiwaniu się słownictwem przedszkolnym. Ale podoba mi się to, że rano mogę pójść na spacer po łące i pozdrawiać moich sąsiadów po imieniu. Kiedy siedząca na żywopłocie wrona kracze na mnie, mogę odkrzyknąć: *Mno gizhget andushukwe!* Mogę przejechać dłońią po miękkiej trawie i wymruczeć: *Bozho mishkos*. Błahostka, ale sprawia, że jestem szczęśliwa.

Nie twierdzę, że wszyscy powinniśmy się uczyć języków potawotomi, hopi czy seminole, nawet gdybyśmy mieli taką możliwość. Imigranci przybyli na te wybrzeża z własnym dziedzictwem języków, które należy pielęgnować. Ale jeśli chcemy zapuścić korzenie w tym miejscu, jeśli chcemy tu przetrwać – my i nasi sąsiedzi – naszym zadaniem jest nauczyć się gramatyki ożywienia, abyśmy mogli naprawdę poczuć się tu jak w domu.

Pamiętam słowa Billa Wysokiego Byka, członka starszyny plemienia Czejenów. Jako młoda kobieta w rozmowie z nim lamentowałam, że nie mam ojczystego języka, którym mogłabym rozmawiać z roślinami i ukochanymi miejscami.

– Uwielbiają słyszeć stary język – powiedział. – To prawda. Ale – dodał, wskazując na usta – nie musisz nim mówić w ten sposób. Jeśli mówisz stąd – przy tych słowach uderzył się w pierś – usłyszysz cię.

## MISHKOS KENOMAGWEN - O CZYM SZUMIĄ TRAWY



### I. Wprowadzenie

Łąkę turówki można wyczuć w letni dzień, zanim się ją zobaczy. Człowiek zaczyna węszyć jak pies, gdy jej woń unosi się lekko na wietrze, i znika na chwilę, zastąpiona przez intensywny bagnisty zapach mokrej ziemi. A potem wraca – kusząca, słodka, waniliowa.

### II. Bibliografia

Leny nie da się jednak tak łatwo zmylić. Wkracza na łąkę z pewnością, jaką daje jej doświadczenie. To drobna siwowłosa kobieta, starsza naszej wspólnoty. Stojąc po pas w trawie, rozgląda się, a następnie rusza najprostszą drogą w stronę miejsca, które dla niewtajemniczonych niczym się nie różni od reszty łąki. Przeciagając wstęgę trawy między kciukiem a palcem wskazującym pomarszczonej brązowej dłoni, Lena zwraca się do mnie:

– Widzisz, jak błyszczy? Choć ukrywa się przed tobą między innymi trawami, to chce, żeby ją odnaleźć. Właśnie dlatego tak lśni.

Ale mija ten skrawek łąki, tylko muska trawę palcami. Jest posłuszna naukom swoich przodków, aby nigdy nie zrywać pierwszej napotkanej rośliny.

Podążam za nią, gdy jej dłonie wędrują z miłością po sadzcu i nawłoci. Dostrzega błysk w trawie i jej krok przyspiesza.

– Ach, *Bozho* – mówi. „Cześć”.

Z kieszeni starej nylonowej kurtki wyjmuję sakiewkę z jele-  
niej skóry obrębianą czerwonymi paciorkami i wysypuje na dłoń  
odrobinę tytoniu. Zamyka oczy i mrucząc coś pod nosem, wycią-  
ga rękę ku czterem stronom świata, a następnie rozsypuje tytoń po  
ziemi.

– Wiesz – zaczyna, unosząc brwi pytająco – że zawsze trzeba zo-  
stawić dar dla roślin i zapytać, czy możemy je zerwać? Byłoby nie-  
uprzejme robić to bez ich zgody.

Dopiero wtedy pochyla się i szczypiąc, odrywa trawę u podstawy,  
ostrożnie, by nie uszkodzić korzeni. Rozdziela pobliskie kępy, znajdu-  
je kolejne i kolejne, dopóki nie zbierze grubej wiązki lśniących łodyg.  
Kręty szlak rozdzielonej trawy pokazuje, którądy przeszła.

Mija wiele gęstych skupisk, ale pozwala im dalej kołysać się na  
wietrze.

– Nasza tradycja każe zbierać tylko to, czego potrzebujemy. Zaw-  
sze mi powtarzano, żeby zostawić przynajmniej połowę roślin na da-  
nym obszarze.

Czasami nie zrywa niczego, tylko przychodzi na łąkę, aby ją zo-  
baczyć i sprawdzić, jak sobie radzą trawy.

– Nasze nauki mają bardzo mocne podstawy. Nie przekazywano  
by ich, gdyby nie było w nich mądrości. Najważniejszą rzeczą, którą  
należy zapamiętać, jest to, co powtarzała moja babcia: jeśli spożytku-  
jemy roślinę z szacunkiem, pozostanie z nami i będzie się rozwijać.  
Jeśli ją zlekceważymy, zniknie. Jeśli nie okazemy jej należnego sza-  
cunku, opuści nas.

Same rośliny nam to pokazały – *mishkos kenomagwen*. Gdy scho-  
dzimy z łąki na ścieżkę, która wiedzie nas z powrotem przez las, ko-  
bieta wiąże kilka łodyg tymotki w luźny węzeł, tuż przy drodze.

– To wiadomość dla innych zbieraczy, że tu byłam, aby wiedzieli, że  
nie mogą już więcej zrywać. Tu zawsze rośnie dobra turówka, ponieważ

przestrzegamy zasad. Ale w innych miejscach coraz trudniej ją zna-  
leźć. Możliwe, że inni nie zbierają jej we właściwy sposób. Niektó-  
rzy spieszą się i wyrywają całą roślinę. Z korzeniami. Nie tak mnie  
uczono.

Chodziłam ze zbieraczami, którzy tak właśnie robili: wyrywali całą  
garść turówki, po której zostawało w darni puste miejsce, a końcówki  
łodyg stanowiły płatanię poszarpanych korzeni. Oni również skła-  
dali ofiary z tytoniu i zbierali tylko połowę, zapewniając mnie przy  
tym, że ich metoda jest właściwa. Zżymali się na zarzuty, że przez ich  
działanie kurczą się zasoby turówki. Kiedy wspomniałam o tym Lenie,  
tylko wzruszyła ramionami.

### III. Hipoteza

Turówka zaczyna znikać z wielu miejsc, w których występowała od  
zawsze, więc rękodzielnicy wypłatający z niej kosze zwrócili się do  
botaników z prośbą o zbadanie, jak mogą się do tego przyczyniać  
różne metody zbiorów.

Chciałam im pomóc, ale trochę się bałam. Turówka nie jest dla  
mnie obiektem badań. Jest darem. Między nauką a tradycyjną wie-  
dzą istnieje bariera języka i znaczeń, to różne sposoby poznania i ko-  
munikacji. Nie jestem pewna, czy chcę wtłoczyć to, czego nas uczy  
turówka, w ciasne ramy naukowego myślenia i technicznego języka,  
których się wymaga na uczelni: wprowadzenie, bibliografia, hipoteza,  
metody, wyniki, dyskusja, wnioski, podziękowania, cytowane źród-  
ła. Ale zostałam o to poproszona w imieniu turówki i znam swoją  
powinność.

Aby zostać wysłuchanym, trzeba mówić językiem słuchającego.  
Więc zaproponowałam ten temat jako pomysł na pracę dyplomo-  
wą mojej studentce Laurie. Nie zadowolając się czysto akademicki-  
mi zagadnieniami, szukała projektu badawczego, który – jak sama to  
ujęła – „miałby dla kogoś jakieś znaczenie”, zamiast po prostu leżeć  
na półce i zbierać kurz.

#### IV. Metody

Laurie paliła się do pracy, ale wcześniej nie miała do czynienia z turówką.

– To trawa będzie cię uczyć, więc musisz ją poznać – radziłam jej.

Zabrałam ją na nasze odtworzone łąki i była to miłość od pierwszego powąchania. Rozpoznanie turówki nie zajęło jej długo. To było tak, jakby roślina chciała, by ją znaleźć.

Wspólnie zaplanowałyśmy eksperymenty, aby porównać efekty dwóch metod zbioru, o których mówili koszykarze. Dotychczasowa edukacja Laurie była oparta wyłącznie na metodzie naukowej, ale chciałam, żeby doświadczyła nieco innego stylu badań. Dla mnie eksperyment jest rodzajem rozmowy z roślinami: mam do nich pytanie, ale ponieważ nie mówimy tym samym językiem, nie mogę go zadać bezpośrednio, a one nie odpowiedzą mi słowami. Ale rośliny wyrażają się w swoich reakcjach fizycznych i zachowaniach. Odpowiadają na pytania tym, jak żyją i jak reagują na zmiany. Trzeba się tylko nauczyć pytać. Uśmiecham się, gdy słyszę, jak moi koledzy z uczelni mówią: „Odkryłem to”. Przypomina to stwierdzenie Kolumba, że odkrył Amerykę. Była tu przecież przez cały czas, po prostu o tym nie wiedział. Eksperymenty nie polegają na odkrywaniu, ale na słuchaniu i tłumaczeniu wiedzy innych istot. —

Moi koledzy z uczelni mogą sobie sztydzić z poglądu, że plecionkarze są naukowcami, ale kiedy Lena i jej córki zrywają pięćdziesiąt procent turówki, obserwują, co z tego wyniknie, wyciągają wnioski ze swoich spostrzeżeń, a następnie planują na ich podstawie przyszłe działania, mnie to wygląda na naukę eksperymentalną. Zbieranie danych i sprawdzanie ich poprawności przez całe pokolenia prowadzi do formułowania dobrze przetestowanych teorii.

Na moim uniwersytecie, podobnie jak na wielu innych, doktoranci muszą przedstawić komisji wydziałowej plan pracy doktorskiej. Laurie wykonała kawał dobrej roboty: przedstawiła zarys proponowanego eksperymentu, fachowo opisała miejsca badań, liczbę powtórzeń

i procedury kontroli wyrywkowej. Ale gdy skończyła mówić, na sali konferencyjnej zapanowała niezręczna cisza. Jeden z profesorów przekartkował plan jej pracy i odsunął z lekceważeniem.

– Nie widzę, żeby to miało wnieść coś nowego do nauki – powiedział. – Brakuje tu nawet modelu teoretycznego.

Teoria oznacza dla naukowców coś zgoła odmiennego niż w powszechnym rozumieniu, w którym określa się tym mianem niesprawdzone, oparte na domysłach wywody. Teoria naukowa to spójny system wiedzy, zawierający wyjaśnienia, które sprawdzają się w wielu przypadkach i pozwalają przewidzieć, co może się zdarzyć w nieznanych sytuacjach. Jak tutaj. Nasze badania były z całą pewnością ugruntowane w teorii – przede wszystkim Leny – oraz w tradycyjnej wiedzy ekologicznej Indian: jeśli skorzystamy z rośliny z szacunkiem, będzie się rozwijać. Jeśli ją zlekceważymy, zniknie. To teoria wysnuta na podstawie tysięcy obserwacji reakcji roślin na ich zrywanie, weryfikowana przez pokolenia praktyków, od plecionkarzy po zielarzy. Ale choć była prawdziwa, trudno było nie dostrzec lekceważenia ze strony komisji.

Spoglądając sponad okularów, które zsunęły mu się na czubek nosa, dziekan utkwiał w Laurie surowe spojrzenie, zerkając na mnie z ukosa. „K a ż d y wie, że zrywanie roślin ma negatywny wpływ na ich populację. Marnuje pani swój czas. I przykro mi, ale cała ta tradycyjna wiedza nie bardzo mnie przekonuje”. Laurie pracowała dawniej jako nauczycielka, więc nie dała się wyprowadzić z równowagi i z klasą kontynuowała swój wywód, ale w jej oczach pojawiła się zaciętość.

Później jednak wypełniły się one łzami. Moje również. Kiedy kobieta zaczynała karierę w świecie nauki, choćby nie wiadomo jak starannie się przygotowywała, czekał ją taki właśnie rytuał przejścia – protekcyjna traktowanie i werbalne upokorzenia ze strony władz uczelni, zwłaszcza jeśli miała czelność opierać swoją pracę na spostrzeżeniach starych kobiet, które prawdopodobnie nie ukończyły nawet szkoły średniej, a do tego rozmawiały z roślinami.

Sklonienie naukowców do wzięcia pod uwagę prawdziwości tradycyjnej wiedzy jest jak pływanie pod prąd w przeraźliwie zimnej

wodzie. Zostali tak uwarunkowani do sceptycyzmu wobec nawet najtwardszych z twardych danych, że skłonienie ich umysłów do teorii, które zostały potwierdzone bez wykresów czy równań, graniczy z cudem. Dodajmy do tego niepodważalne założenie, że nauka posiada monopol na prawdę, i nie pozostaje zbyt wiele miejsca do dyskusji.

Kontynuowaliśmy niezrażone. Plecionkarze zapewnili nam warunki wstępne konieczne do zastosowania metody naukowej: obserwację, model i sprawdzalną hipotezę. Według mnie to była nauka. Zaczęliśmy więc od założenia działek eksperymentalnych na łąkach, aby zadać roślinom pytanie: „Czy te dwie różne metody zbierania przyczyniają się do zmniejszenia populacji?”, a następnie próbowaliśmy odczytać odpowiedź. Wybrałyśmy stanowiska z gęstą turówką, gdzie odtworzono populację tej trawy, by nie eksperymentować na tradycyjnych terenach, na których pracowali zbieracze.

Laurie z niewiarygodną cierpliwością przeprowadziła spis populacji turówki na każdym poletku, aby uzyskać dokładne pomiary zagęszczenia przed zbiorami. Oznaczyła nawet poszczególne łodygi kolorowymi plastikowymi opaskami, aby śledzić później, co się z nimi dzieje. Kiedy wszystko zostało spisane, rozpoczęła zbiory.

Na działkach zastosowała jedną z dwóch metod zbioru opisanych przez plecionkarzy. Laurie zebrała połowę łodyg, szczypiąc je ostrożnie jedną po drugiej u podstawy na niektórych poletkach, podczas gdy na innych wyszarpywała kępki i zostawiała niewielką nierówną dziurę w darni. Każdy eksperyment, rzecz jasna, musi mieć grupę kontrolną, więc taką samą liczbę poletek pozostawiła w spokoju i nic z nich nie zbierała. Ozdabiała przy tym łąki różowymi chorągiewkami, aby zaznaczyć obszar swoich badań.

Pewnego dnia siedzieliśmy w słońcu i rozmawialiśmy o tym, czy dzięki obranej metodzie rzeczywiście powielamy tradycyjne zbiory.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że nie – powiedziała Laurie. – Ponieważ nie naśladuję nawiązywania relacji z turówką. Nie rozmawiam z nią ani nie składam jej ofiary. – Długo rozważała to podejście, lecz ostatecznie postanowiła je wykluczyć. – Szanuję ten tradycyjny

związek, ale nigdy byłabym go w stanie stworzyć w ramach eksperymentu. Nie byłoby to pod żadnym względem dobre: wprowadzić zmienną, której nie rozumiem i której nauka nie może nawet spróbować zmierzyć. Poza tym nie jestem odpowiednio przygotowana do rozmowy z turówką.

Później przyznała, że trudno jej było zachować przy tych badaniach obojętność i stłumić uczucia do roślin. Po tylu dniach spędzonych między nimi, po słuchaniu i uczeniu się od nich, obojętność okazała się niemożliwa. W końcu po prostu ostrożnie i z uwagą okazywała im cały swój szacunek. W ten sposób uczyniła ze swej troski kolejną stałą, która w żaden sposób nie wpływa na wyniki. Zebrana przez nią turówka została policzona, zważona i rozdana plecionkarzom.

Co kilka miesięcy Laurie liczyła i oznaczała całą trawę na swoich działkach: obumarłe pędy, żywe pędy oraz zupełnie nowe, które kiełkowały z ziemi. Przedstawiła na wykresie narodziny, obumieranie i rozmnażanie wszystkich łodyg. Gdy nadszedł kolejny lipiec, zebrała turówkę raz jeszcze, podobnie jak robiły to kobiety na indiańskich ziemiach. Przez dwa lata wraz z zespołem stażystów zrywała rośliny i badała ich reakcje. Na początku ciężko jej było pozyskać pomocników do tego projektu – obserwowanie, jak rośnie trawa, dla wielu nie zapowiadało się zbyt zachęcająco.

## V. Wyniki

Laurie uważnie obserwowała rośliny i wypełniała swój notatnik wynikami pomiarów, opisując żywotność trawy na każdej działce. Martwiło ją trochę, że pola grupy kontrolnej wyglądały marnie. Działki pozostawione samym sobie miały być przecież punktem odniesienia przy porównywaniu skutków zrywania trawy na innych poletkach. Mialiśmy nadzieję, że ożyją wraz z nadejściem wiosny.

W drugim roku Laurie spodziewała się swojego pierwszego dziecka. Trawa rosła i rosła, podobnie jak jej brzuch. Schyłanie stało się dla Laurie nieco bardziej uciążliwe, nie mówiąc już o leżeniu wśród traw

i czytaniu ich oznaczeń. Ale pozostała wierna swoim roślinom, siedziała na ziemi między nimi, licząc je i oznaczając. Powiedziała, że spokojnej pracy w terenie i siedzenie na kwiecistej łące wśród zapachu turówki to dobry początek dla dziecka. Myślę, że coś w tym jest.

Latem rozpoczął się wyścig z czasem, by zakończyć badania przed narodzinami dziecka. Do porodu zostało zaledwie kilka tygodni i wszyscy wkładali w pracę całą energię. Kiedy Laurie kończyła badać jakiś skrawek działki, zwoływała grupę, by pomogła jej podnieść się na nogi. To także był rytuał przejścia dla biolożek pracujących w terenie.

W miarę jak jej dziecko rosło, Laurie z coraz większym przekonaniem wierzyła w mądrość swoich indiańskich mentorów, uznając – czego zachodnia nauka najczęściej nie robiła – niezwykle trafność obserwacji kobiet, które od dawna miały bliski związek z roślinami i ich siedliskami. Dzieliły się z nią wieloma mądrościami i wydziergały wiele czapeczek dla jej dziecka.

Mała Celia urodziła się z początkiem jesieni, a nad jej łóżeczkiem zawisł warkocz upleciony z turówki. Gdy spała, Laurie wprowadzała dane do komputera i zaczęła porównywać metody zbioru. Na podstawie węzłków zawiązanych na każdej łodydze mogła sporządzić wykres ich narodzin i zamierania na powierzchniach próbnym. Niektóre działki były pełne nowych pędów, które były znakiem rozwijającej się populacji, a niektóre nie.

Wykonane przez nią analizy statystyczne były rzetelne i klarowne, ale do prezentacji wyników swoich badań Laurie właściwie nie potrzebowała wykresów. Już na polu widać było różnicę: niektóre działki były po oczach żywą zielenią, podczas gdy na innych trawy były brązowe i matowe. W głowie Laurie wciąż rozbrzmiewały słowa dziekana: „Każdy wie, że zrywanie roślin ma negatywny wpływ na ich populację”.

Zaskakujące, że wbrew temu, co zakładano, turówka najgorzej radziła sobie nie na tych polach, gdzie była zbierana, ale na pozostawionych samym sobie. Tam, gdzie jej nie zrywano i nie wpłymano na nią w żaden sposób, zdławiły ją obumarłe łodygi, podczas gdy na „obrabianych” działkach miała się świetnie. Mimo że co roku zrywano połowę

turówki, ta szybko odrastała, wszystko, co zostało zebrane, odradzało się, co więcej, trawa wypuszczała więcej pędów niż wcześniej. Wyglądało na to, że zrywanie rzeczywiście stymuluje jej wzrost. W pierwszym roku najlepiej rosły rośliny zrywane garściami. Ale niezależnie od tego, czy były odrywane pojedynczo, czy wyciągane kępami, w obu przypadkach efekt był niemal taki sam: nie miało znaczenia to, jak zbierano trawę, ale to, że w ogóle ją zbierano.

Komisja doktorska już na wstępie odrzuciła tę możliwość. Nauczono ich, że zrywanie roślin prowadzi do uszczuplenia ich populacji. A jednak sama turówka jednoznacznie wskazywała na coś innego. Niełatwo sobie wyobrazić, że mając w pamięci reakcję komisji podczas prezentacji planu badawczego, Laurie była przerażona obroną pracy. Ale miała jedną rzecz, którą sceptyczni naukowcy cenią najbardziej: dane. Podczas gdy Celia spała w ramionach dumnego ojca, Laurie zaprezentowała swoje wykresy i tabele, aby wykazać, że turówka rośnie najlepiej, kiedy jest zrywana, a bez tego marnieje. Dziekan milczał. Indiańscy zbieracze uśmiechali się.

## VI. Dyskusja

Wszyscy jesteśmy wytworem naszych światopoglądów – nawet naukowcy, którzy przypisują sobie czysty obiektywizm. Ich prognozy dotyczące reakcji turówki na naszą interwencję były zgodne z zachodnim światopoglądem naukowym, który stawia ludzi poza „naturą” i ocenia ich interakcje z innymi gatunkami jako przeważnie negatywne. Nauczono ich, że najlepszym sposobem ochrony gatunku, którego populacja spada, jest pozostawienie go w spokoju i trzymanie ludzi z dala od niego. Ale łąka pokazuje nam, że dla turówki ludzie są częścią ekosystemu, i to bardzo istotną. Odkrycia Laurie mogły być zaskakujące dla ekologów z uniwersytetu, lecz mimo to są zgodne z teorią głoszoną przez naszych przodków. „Jeśli z szacunkiem spożytkujemy roślinę, pozostanie z nami i będzie się rozwijać. Jeśli ją zlekceważymy, zniknie”.

– Pani eksperyment wydaje się ukazywać istotną zależność – powiedział dziekan. – Ale jak to pani wytłumaczy? Czy sugeruje pani, że trawa, której nie zerwano, poczuła się zraniona, ponieważ została zignorowana? Jaki mechanizm jest za to odpowiedzialny?

Laurie przyznała, że w literaturze naukowej na próżno szukać opisu związku między działalnością indiańskich wytwórców koszy a wzrostem turówki, ponieważ takie zagadnienia uważano za niewarte uwagi naukowców. Sięgnęła za to do badań nad reakcją traw na inne czynniki, takie jak pożar czy wypas zwierząt. Odkryła, że stymulowany wzrost, który sama zaobserwowała, był dobrze znany nauce. W końcu trawy są doskonale przystosowane do zaburzeń – dlatego pielęgnujemy trawniki. Kiedy je kosimy, rozpleniamy się. Trawy utrzymują swoje stożki wzrostu tuż pod ziemią, więc gdy ich liście padają ofiarą kosiarki, pasącego się zwierzęcia lub pożaru, szybko odrastają.

Wyjaśniła, w jaki sposób zbiory przerzedziły populację turówki i otwierając dostęp do światła i przestrzeni, pozwoliły pozostałym pędom szybko się rozmnożyć. Nawet wyrywanie okazało się dla nich korzystne. Kłacz jest pełne pąków. Po delikatnym pociągnięciu pęka ono i wszystkie te pąki wytwarzają zaradne młode pędy, które wypełniają lukę.

Wiele traw podlega fizjologicznemu procesowi znanemu jako wzrost kompensacyjny, w którym roślina równoważy utratę liści przez szybki wzrost. Wydaje się to sprzeczne z intuicją, ale kiedy stado bizonów pasie się na prerii porośniętej trawą, ta rzeczywiście zaczyna rosnąć szybciej. A w ten sposób nie tylko pomaga się zregenerować roślinie, ale także zaprasza zwierzę na przyszły posiłek. Odkryto nawet, że w ślinie przeżuwanego bizona znajduje się enzym, który stymuluje wzrost trawy. Nie mówiąc już o nawozie produkowanym przez pasące się stado. Trawa pomaga bizonowi, a bizon pomaga trawie.

Ten system dobrze funkcjonuje, ale tylko wtedy, gdy stado wykorzystuje trawę z umiarem. W naturalnych warunkach biony pasą się, a potem ruszają dalej i przez wiele miesięcy nie wracają do tego samego miejsca. W ten sposób instynktownie przestrzegają zasady, aby

zostawić połowę, nie zjadać za dużo. Dlaczego nie miałyby ona dotyczyć także ludzi i turówki? Nie jesteśmy ani lepsi, ani gorsi od bizona, rządzą nami te same prawa przyrody.

Przez długie lata bycia wykorzystywaną przez ludzi turówka najwyraźniej stała się od nich zależna, a tworzone przez człowieka „zaburzenie” stymuluje jej kompensacyjny wzrost. Ludzie uczestniczą w symbiozie, w której turówka ofiarowuje im pachnące żdźbła, a oni, zbierając ją, tworzą dla niej idealne warunki wzrastania.

Pojawia się intrygujące pytanie, czy spadek populacji turówki w niektórych miejscach może wynikać nie z nadmiernej, ale raczej zbyt małej eksploatacji. Laurie i ja ślęczałyśmy nad mapą historycznego rozmieszczenia turówki stworzoną przez moją byłą studentkę Danielę Shebitz. Niebieskimi kropkami oznaczono miejsca, gdzie kiedyś występowała turówka, ale już zniknęła. Czerwonymi natomiast stanowiska, na których turówka rosła dawniej i rośnie także dzisiaj. Lokalizacja tych ostatnich nie jest przypadkowa, skupiają się bowiem wokół indiańskich społeczności, szczególnie tych słynących z wyplatania z niej koszy. Turówka rośnie więc tam, gdzie się z niej korzysta, a zanika gdzie indziej.

Nauka i tradycyjna wiedza mogą zadawać różne pytania i mówić różnymi językami, ale spotykają się, kiedy naprawdę wsłuchają się w mowę roślin. Lecz aby zreferować wiedzę przekazaną przez przodków naukowcom w tamtej sali, musiałyśmy użyć naukowej argumentacji wyrażonej w języku mechaniki i uprzedmiotowienia: „Jeśli usuniemy pięćdziesiąt procent biomasy roślinnej, łodygi zostaną zwolnione z obowiązku walki o zasoby. Bodziec kompensacyjnego wzrostu prowadzi do zwiększenia gęstości populacji i żywotności roślin. Brak zaburzeń powoduje zmniejszenie zasobów, a co za tym idzie, wzrost konkurencji, który skutkuje utratą żywotności i zwiększoną śmiertelnością”.

Komisja nagrodziła moją doktorantkę gromkimi brawami. Laurie mówiła w ich języku i przekonująco wykazała stymulujący efekt zbierania traw, a tak naprawdę wzajemnych powiązań między zbieraczami

a turówką. Jeden z członków komisji odważył się nawet wycofać swoją początkową krytykę, że takie badanie „nie wniosłoby nic nowego do nauki”. Koszykarze, którzy siedzieli przy stole, po prostu kiwali głowami. Czy starszyzna nie mówiła o tym od dawna?

Pytanie brzmiało: jak okazać szacunek? Turówka zdradziła nam odpowiedź w trakcie eksperymentów – rozwiązaniem mogą być zrównoważone zbiory oraz przyjmowanie z pokorą jej daru.

Być może to nie przypadek, że to Turówka przekazuje nam tę prawdę. *Wiingaashk* jako pierwsza została zasadzona przez Skywoman na grzbiecie Żółtej Wyspy. Trawa ofiaruje nam swoją wonną esencję, a my ją przyjmujemy z wdzięcznością. W zamian za to, w samym akcie przyjęcia daru, zbieracze zapewniają jej przestrzeń do rozwoju, wpuszczają światło i delikatnym szarpnięciem pobudzają uspięne pąki rodzące nową trawę. Wzajemność polega na utrzymywaniu daru w ruchu poprzez nieustające cykle dawania i otrzymywania.

Starsi naszego plemienia nauczali, że relacje między roślinami a ludźmi muszą być zrównoważone. Ludzie mogą zebrać zbyt wiele roślin i nadwerżyć ich zdolność do regeneracji, potrzebną, by mogły ponownie nam siebie ofiarować. W słowach: „Nigdy nie zbieraj więcej niż połowę” pobrzmiwa echo bolesnych doświadczeń. A jednocześnie ta sama mądrość głosi, że można zebrać zbyt mało. Jeśli pozwolimy, by tradycje umarły, a relacje się zerwały, ziemia będzie cierpieć. Prawa te sformułowano, czerpiąc z trudnych doświadczeń i błędów przeszłości. I nie wszystkie rośliny są takie same. Każda ma własny sposób na regenerację. Niektórym, w przeciwieństwie do turówki, łatwo zaszkodzić, gdy się je zbiera. Lena powiedziałaaby, że kluczem jest poznanie ich na tyle dobrze, aby zrozumieć tę różnicę.

## VII. Wnioski

Składając tytoń i podziękowania, nasz lud mówi Turówce: „Potrzebujemy cię”. Regenerując się po zerwaniu, trawa mówi ludziom: „Ja również was potrzebuję”.

*Mishkos kenomagwen*. Czy to nie lekcja udzielona przez trawę? Dzięki wzajemności dar się odradza. Dzięki niej wszystko się rozwija.

## VIII. Podziękowania

Na polu wysokiej trawy, której wiatr jest jedynym towarzyszem, rozbrzmiewa język przekraczający granicę między podejściem naukowym a tradycyjnym, między twardymi danymi a modlitwą. Wiatr szumi wśród traw i niesie dalej ich pieśń. Dla mnie brzmi to jak *mishhhbkos*, nieustannie rozchodzące się po morzu zieleni. Po wszystkim tym, czego nas nauczyła Turówka, chcę jej powiedzieć: dziękuję.

## IX. Cytowane źródła

*Wiingaashk*, Bizon, Lena, Przodkowie.

## ODPOWIEDZIALNE ZBIORY



Wrony obserwują, jak idę przez pole z koszykiem, i głośno się kłócą, skąd się wzięłam. Ziemia pod moim stopami jest twarda i naga, nie licząc paru kamieni rozrzuconych przez pług oraz kilku zeszłorocznych łodyg kukurydzy – rozczapierzone pozostałości ich korzeni powietrznych wyglądają jak pobielale odnóża pająka. Lata gospodarki monokulturowej i używania herbicydów wyjałowiły tę glebę. Nawet deszczowy kwiecień nie wzbudził do życia żadnego zielonego źdźbła. Do sierpnia znowu będzie tu rosnać monokultura kukurydzy w prostych, bezdusznych rzędach, ale na razie przebiega tędy moja droga do lasu.

Świta wron opuszcza mnie przy kamiennym murku, który jest właściwie stosem polodowcowych kamieni zagrabionych z pola, by zaznaczyć jego granicę. Po drugiej stronie ziemia jest miękka i sprężysta od kompostu, który gromadził się tu przez wielki, a leśne podłoże jest upstrzone małymi różowymi klajtoniami i kępami fiołków. Wśród próchnicy widać psiząb i trójlist, które przebijają się przez brązową matę liści. Spomiędzy nagich gałęzi klonów rozbrzmiewa srebrzysty trel drozda. Gęste plamy dzikiego czosnku są jednymi z pierwszych, które pojawiają się na wiosnę, a ich zieleń jest tak żywa, że krzyczy niczym neon: „ZERWIJ MNIE!”.

Opieram się pokusie natychmiastowego spełnienia ich prośby i zamiast tego zwracam się do roślin tak, jak mnie nauczono: przedstawiam się,

na wypadek gdyby zapomniały, kim jestem, mimo że spotykamy się od lat. Wyjaśniam, dlaczego przyszedłam, i proszę o pozwolenie na ich zerwanie, uprzejmie pytając, czy zechcą się sobą podzielić.

Dziki czosnek to wiosenny zastrzyk energii, który jednocześnie karmi i uzdrawia. Budzi ciało z zimowej ospałości i poprawia krążenie krwi. Ale mam też inną potrzebę, którą potrafi zaspokoić jedynie zielenina z tego konkretnego lasu. Obie moje córki, mieszkające na co dzień daleko, przyjeżdżają na weekend do domu. Proszę te rośliny, aby odnowiły więzi między ziemią a moimi dziećmi, aby zawsze nośły cząstkę domu w minerałach swoich kości.

Niektóre liście zdążyły się już rozwinąć i wyciągają się w stronę słońca, podczas gdy inne trwają przyklejone do łodygi, która przebija się przez ściółkę leśną. Wbijam łopatkę wokół kępki roślin, ale ten okaz ma głębokie, ciasno upakowane korzenie i opiera się moim wysiłkom. Łopatka jest mała, a do tego boli mnie ręka, która przez zimę odwykła od pracy, w końcu jednak udaje mi się wyciągnąć z ziemi pęczek dzikiego czosnku i otrzepuję z niego resztki ciemnej gleby.

Spodziewałam się zbitki grubych białych cebulek, ale zamiast tego w miejscu, gdzie powinny być, moim oczom ukazują się postrzępione, cienkie jak pergamin pochwki. Są suche i wiotkie, wyglądają tak, jakby ktoś wyssał z nich cały sok. I tak jest. Jeśli prosi się o pozwolenie, trzeba uszanować odpowiedź. Wsadzam je więc z powrotem w ziemię i wracam do domu. Wzdłuż kamiennego muru rośnie czarny bez, z którego przebijają już pączki, a jego listki zarodkowe wyglądają jak fioletowe dłonie w rękawiczkach.

W taki dzień jak dziś, kiedy widzę rozwijające się pędy paproci, a powietrze jest miękkie i pachnące, zalewa mnie tęsknota. Wiem, że „Nie pożądaj chloroplastów bliźniego swego” to dobra rada, a jednak muszę się przyznać do totalnej chlorofilowej zazdrości. Czasami chciałabym posiadać zdolność fotosyntezy, aby samym błyszczeniem na skraju łąki, leniwym unoszeniem się po powierzchni stawu albo zwyczajnym staniem w słońcu móc wykonywać pracę dla świata. Cieniste drzewa iglaste i falujące trawy produkują cząsteczki cukru

i przekazują je głodnym paszczom i zuwaczkom, cały czas słuchając przy tym śpiewu ptaków i obserwując światło tańczące na wodzie.

Zapewnienie dobrobytu innym dawałoby tyle satysfakcji – jak ponowne bycie matką, bycie potrzebną. Cień, leczenie, owoce, korzenie – można by wyliczać bez końca. Jako roślina mogłabym rozpalic ognisko, stać się częścią gniazda, zaleczyć ranę, napełnić garnek.

Ale ta hojność wykracza poza moje możliwości, ponieważ jestem zwykłym heterotrofem, pożeraczem węgla przenoszonego przez innych. Aby żyć, muszę jeść. Tak działa natura, jedno życie za drugie, niekończąca się wymiana między moim ciałem a resztą świata. Rola heterotrofa nie jest jednak taka zła. Poza tym gdybym miała zdolność fotosyntezy, nie poznałabym smaku dzikiego czosnku.

Zamiast tego wykorzystuję więc fotosyntezę innych. Nie jestem jaskrawym liściem w ściółce leśnej – jestem kobietą z koszem, a to, jak go wypełniam, nie jest bez znaczenia. Jeśli żyjemy świadomie, odczuwamy dylemat moralny, niszcząc życie innych istot dla własnej korzyści. Niezależnie od tego, czy chodzi o wykopywanie dzikiego czosnku, czy pojęcie do centrum handlowego, w jaki sposób możemy korzystać z darów natury, by oddać sprawiedliwość tym, którym odbieramy życie?

Najstarsze opowieści przypominają nam, że ten dylemat był przedmiotem głębokiej troski naszych przodków. Skoro tak bardzo polegamy na życiu innych istot, stajemy przed koniecznością, by je chronić. Nasi przodkowie, posiadający tak mało dóbr materialnych, poświęcali wiele uwagi temu zagadnieniu, podczas gdy my, którzy mamy ich w bród, prawie nie zaprzatamy sobie tym głowy. Krajobraz kulturowy mógł się zmienić, ale dylemat pozostał – potrzeba naprawienia towarzyszącego nam ciągle rozdarcia między szacunkiem dla życia innych istot a odbieraniem go po to, aby przeżyć, jest nieodłączną częścią człowieczeństwa.

Kilka tygodni później biorę koszyk i znów przechodzę przez pole, ziemia wciąż jest goła, lecz po drugiej stronie murku pokrywają ją kwiaty białego trójlistu, który z daleka wygląda jak śnieg. Chodzę na palcach i pewnie wyglądam jak baletnica, lawirując między kępami

delikatnych serduszek (*Dicentra cucullaria*), tajemniczymi niebieskimi pędami świecznicy groniastej (*Actaea racemosa*), spłachetkami sangwinarii (*Sanguinaria canadensis*) oraz przebijającym się przez poszycie zielonymi pędami arizemy (*Arisaema triphyllum*) i stopkowca (*Podophyllum peltatum*). Pozdrawiam je, jedno po drugim, i mam wrażenie, że również cieszą się na mój widok.

Przodkowie uczą nas, by zabierać tylko to, co zostało nam ofiarowane, a kiedy byłam tu ostatnim razem, dziki czosnek nie miał mi nic do zaoferowania. Cebulki przechowują energię zaoszczędzoną dla następnego pokolenia jak pieniądze w banku. Zeszłej jesieni były lśniące i duże, ale w pierwszych dniach wiosny stan konta oszczędnościowego drastycznie zmalał – wtedy bowiem korzenie wysyłają zgromadzoną energię do pojawiających się liści, aby wspierać ich podróż od ziemi ku słońcu. Przez pierwsze kilka dni liście są konsumentami – pobierają substancje odżywcze z korzeni, nie dając nic w zamian. Ale za to kiedy się rozwiną, stają się potężnymi panelami słonecznymi, które na nowo ładują energię korzeni, bilansując nierównowagę między konsumpcją a produkcją w ciągu zaledwie kilku tygodni.

Dzisiaj dziki czosnek jest dwa razy większy niż podczas mojej poprzedniej wizyty, a z miejsca, gdzie jeleni uszkodził liście, rozchodzi się silny cebulowy zapach. Mijam pierwszą kępę i przyklękam na chwilę. Raz jeszcze w milczeniu proszę o pozwolenie.

Taka prośba jest nie tylko wyrazem szacunku dla podmiotowości rośliny, ale także oceną dobrostanu populacji. Dlatego muszę użyć obu półkul mózgowych, by wysłuchać odpowiedzi. Lewa, analityczna, odczytuje znaki empiryczne i ocenia, czy populacja jest wystarczająco liczna i zdrowa, aby można było coś z niej uszczknąć, czy ma na tyle, aby móc się podzielić. Intuicyjna prawa półkula widzi coś innego: hojność, gościnność otwartej dłoni, która mówi: „Weź mnie”, a czasem zacięty opór, który mnie skłania do odłożenia łopatki. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale jest to rodzaj pewności, która przemawia do mnie tak samo silnie, jak znak zakazu wstępu. Tym razem, gdy głęboko wbijam łopatkę, wyciągam grubą wiązkę lśniących białych cebulek, okrągłych,

śliskich i aromatycznych. Słyszę „tak”, więc ze starej miękkiej sakiewki w kieszeni wydaję dar w postaci tytoniu i zaczynam kopać.

Dziki czosnek (*Allium tricoccum*) to roślina, która rozmnaża się wegetatywnie, poprzez podział, powiększając swoje terytorium. Dlatego najbardziej zagęszczone poletka znajdują się w środku i stamtąd staram się go wybierać. W ten sposób moja działalność, skutkująca ich przerzedzeniem, może pomóc rozrastać się pozostałym roślinom. Począwszy od cebulek kamasji przez turówkę i borówki, a skończywszy na wiklinie uzyskiwanej z wierzb, nasi przodkowie znajdowali taki sposób ich zbierania, aby przynosił długoterminowe korzyści zarówno roślinom, jak i ludziom.

Chociaż z ostrą łopatką mogłabym pracować wydajniej, prawda jest taka, że poszłoby mi to zbyt szybko. Gdybym mogła zebrać cały potrzebny mi dziki czosnek w pięć minut, pozbawiłabym się radości, którą daje mi czas spędzony na kolanach na obserwacji, jak wyłania się kopytnik, i słuchaniu wilgi, która właśnie wróciła do domu. To jest dopiero *slow food*. Poza tym ta nieznaczna zmiana techniki niosłaby ze sobą ryzyko uszkodzenia sąsiednich roślin i przesady w braniu. W lasach całego kraju populacja dzikiego czosnku maleje z powodu zbieraczy, którzy uwielbiają go tak bardzo, że chcą wziąć wszystko dla siebie. Trud kopania jest ważnym ograniczeniem. Nie wszystko powinno być wygodne.

Tradycyjna wiedza ekologiczna miejscowych zbieraczy jest pełna wskazówek dotyczących zrównoważonego rozwoju. Można je znaleźć w indiańskiej nauce i filozofii, w stylu życia i praktykach duchowych, ale przede wszystkim w opowieściach, które mają pomóc przywrócić równowagę, ponownie włączyć nas do kręgu wzajemności.

Starszy plemienia Anishinaabé, Basil Johnston, opowiada historię o tym, jak to nasz nauczyciel Nanabozho łowił ryby w jeziorze swoim ulubionym sposobem, za pomocą haka i liny. Wzdłuż brzegu kroczyła akurat Czapla na swoich długich, zgiętych nogach, z dziobem przypominającym włócznię. Czapla jest dobrym rybakiem i przyjaciółką, która dzieli się z innymi, więc zdradziła Nanabozho nowy sposób łowienia,

który znacznie ułatwiłby mu życie. Ostrzegła przy tym, aby zachował umiar, ale Nanabozho już myślał o obfitej uczcie. Następnego dnia wyszedł wcześniej na połów i wkrótce złowił cały kosz ryb, tak ciężki, że ledwie mógł go unieść, a ryb było tam tyle, że nie był w stanie ich przejeść. Wypatroszył je wszystkie i pozostawił do wysuszenia na stojaku przed chatą. Następnego dnia, mając wciąż pełen brzuch, wrócił nad jezioro i znów zrobił tak, jak pokazała mu Czapla. „Ach – pomyślał, niosąc do domu ryby – tej zimy będę miał mnóstwo jedzenia”.

Dzień po dniu objadał się. W miarę jak jezioro pustoszało, a jego stojak się napełniał, nad okolicą unosił się apetyczny zapach, który powędrował do lasu, gdzie Lisowi zaczęła cieknąć ślinka. Nanabozho znów poszedł nad jezioro, niezmiennie z siebie zadowolony. Ale tego dnia wyciągnął puste sieci. Czapla, przelatując nad jeziorem, spojrzała na niego z przyganą. Kiedy Nanabozho wrócił do swojej chatki, nauczył się podstawowej zasady – nigdy nie brać więcej, niż się potrzebuje. Stojaki leżały bowiem przewrócone na ziemi, a wszystkie ryby zniknęły.

Pouczające historie o konsekwencjach łakomstwa są w indiańskich kulturach wszechobecne, ale trudno przypomnieć sobie choć jedną w języku angielskim. Być może to pomaga zrozumieć, dlaczego daliśmy się złapać w pułapkę nadmiernej konsumpcji, która jest tak samo destrukcyjna i dla nas samych, i dla tych, których spożywamy.

Indiański kanon zasad i praktyk regulujących wymianę życia za życie funkcjonuje pod nazwą Odpowiedzialnych Zbiorów. Określają one, ile możemy brać, kształtują nasze relacje ze światem przyrody i ograniczają naszą skłonność do konsumpcji – aby świat był dla siódmego pokolenia tak samo bogaty, jak jest dla nas. Zasady rozmaitych kultur i ekosystemów różnią się w szczegółach, ale podstawowe założenia są uniwersalne niemal dla wszystkich ludzi żyjących blisko natury.

Zostałam wychowana na takim sposobie myślenia, nie jestem w tej dziedzinie uczoną. Jako istota ludzka, która nie posiada zdolności fotosyntezy, muszę włożyć trochę wysiłku, by wziąć udział w Odpowiedzialnych Zbiorach. Pochyłam się więc, żeby się przyjrzeć tym, którzy

są znacznie mądrzejsi ode mnie, i żeby ich posłuchać. To, co tu przekazuję, w taki sam sposób, w jaki zostało to przekazane mnie, to nasiona zebrane z pól ich zbiorowej mądrości, z ich zewnętrznej warstwy, mech porastający szczyty ich wiedzy. Jestem wdzięczna za ich nauki i pragnę się nimi podzielić najlepiej, jak potrafię.

Moja przyjaciółka pracuje w urzędzie w małej wiosce w górach Adirondack. Latem i jesienią przed jej drzwiami ustawia się kolejka po pozwolenia na połowy i polowania. Gdy je wydaje, w postaci zalaminowanych dokumentów, dołącza do nich przepisy prawa łowieckiego, kieszonkowe broszury na cienkim papierze gazetowym, czarno-białe, z wyjątkiem błyszczących wkładek ze zdjęciami zwierząt, których dotyczy pozwolenie, na wypadek gdyby ktoś nie wiedział, do czego strzela. Zdarzają się takie przypadki: co roku słyszy się o kolejnym zatrzymanym na autostradzie dumnym łowcy jeleni z przywiązany do zderzaka cielakiem krowy rasy Jersey.

Mój znajomy pracował kiedyś w punkcie kontroli podczas sezonu na kuropatwy. Pewien facet podjechał dużym białym oldsmobile'em i z dumą otworzył bagażnik do inspekcji swojej zdobyczy. Ptaki leżały starannie ułożone na brezencie, jeden za drugim, z lekko zmierzwionym upierzeniem – były to dwa dzięcioły różowoszyje.

Tradycyjne ludy, które utrzymują się ze zbieractwa i łowiectwa, również mają stosowne wytyczne: szczegółowe reguły postępowania stworzone w celu zachowania zdrowia i żywotności gatunków dzikiej przyrody. Podobnie jak regulacje stanowe, one również opierają się na zaawansowanej wiedzy ekologicznej i długoterminowym monitorowaniu populacji. Ich wspólnym celem jest ochrona tego, co myśliwi nazywają „zasobami”, zarówno dla samych siebie, jak i po to, by mogli z nich korzystać przyszłe pokolenia.

Pierwsi koloniści na Żółtym Wyspie, oszołomieni bogactwem wszystkiego, przypisywali je hojności natury. Osadnicy w okolicach Wielkich Jezior pisali w swoich dziennikach o niezwykle obfitej dzikiego ryżu zbieranego przez rdzennych mieszkańców. W ciągu

zaledwie kilku dni byli w stanie napełnić swoje czółna taką ilością ziaren, aby wystarczyło na cały rok. Ale osadnicy byli zaskoczeni faktem, że – jak to ujęła jedna z nich – „Dzicy przerywali zbiory na długo przed zebraniem wszystkiego”. Kobieta relacjonowała dalej: „Zbieranie ryżu rozpoczyna się ceremonią dziękczynną i modlitwą o dobrą pogodę na następne cztery dni. Pracują od świtu do zmroku przez wyznaczone cztery dni, a potem przestają, często pozostawiając dużo niezebranych ziaren. Mówią, że ten ryż nie jest dla nich, ale dla bogów burzy. Nie da się ich zmusić do dalszej pracy i przez to wiele się marnuje”. Osadnicy uznali to za oczywisty dowód lenistwa i zacoiania ze strony barbarzyńców. Nie rozumieli, w jaki sposób troska miejscowych o naturę mogła się przyczynić do napotkanego przez nich bogactwa.

Kiedys spotkałam studenta inżynierii z Europy, który podekscytowany opowiedział mi o tym, jak wraz z rodziną swojego przyjaciela z plemienia Odżibwejów wybrał się na zbiory ryżu w Minnesocie. Bardzo chciał poznać kulturę rdzennych Amerykanów. Wyruszyli na jezioro przed świtem, przez cały dzień pływali wśród kęp dzikiego ryżu i strącali dojrzałe nasiona do czółna.

– Zebrali całkiem sporo w krótkim czasie – powiedział. – Ale nie było to zbyt wydajne. Co najmniej połowa ryżu wpadała do wody, ale oni najwyraźniej się tym nie przejmowali. Dużo się zmarnowało.

W ramach podziękowań dla gospodarzy, tradycyjnej rodziny żyjącej ze zbierania ryżu, zaproponował, że zaprojektuje dla nich system do wyłapywania ziarna, który mógłby być przymocowany do burt ich czółen. Narysował szkic i pokazał, jak dzięki jego technice mogliby zbierać osiemdziesiąt pięć procent więcej ryżu. Jego gospodarze słuchali z szacunkiem, a potem powiedzieli:

– Tak, moglibyśmy w ten sposób zebrać więcej. Ale ryż musi się wysiać na następny rok. A to, co zostawiamy, wcale się nie marnuje. Przecież nie tylko my lubimy ryż. Myślisz, że kaczki zatrzymałyby się nad naszym jeziorem, gdybyśmy zebrali wszystko?

Według naszej tradycji nigdy nie powinniśmy brać więcej niż połowę.

Kiedy zebrałam tyle dzikiego czosnku, by starczyło na obiad, ruszyłam w stronę domu. Wracając przez łąkę, dostrzegam spory jej fragment porośnięty ageratiną rozkładającą błyszczące liście i przypomniała mi się pewna historia opowiedziana przez znajomą zielarkę. Nauczyła mnie jednej z głównych zasad swojej profesji:

– Nigdy nie zrywaj pierwszej napotkanej rośliny, ponieważ może to być ostatnia. A chcesz przecież, aby ta pierwsza mówiła o tobie dobrze innym przedstawicielkom swojego gatunku.

Nie jest to trudne, gdy człowiek trafi na brzeg strumienia cały porośnięty podbiałem, gdy tuż za pierwszym okazem znajduje kolejne, ale gorzej, gdy roślin jest mało, a chęć ogromna.

– Kiedys miałam sen, że powinnam zabrać ageratinę w podróż, w którą miałam wyruszyć następnego dnia. Że ktoś jej potrzebował. Nie wiedziałam jednak, o co dokładnie chodzi. Ale było jeszcze za wcześnie na ageratinę. Miała wypuścić liście dopiero za jakiś tydzień. Istniała szansa, że się gdzieś rozwinie wcześniej, może w jakimś nasłonecznionym miejscu, więc poszłam jej szukać tam, gdzie zwykle ją zbieram – opowiadała mi zielarka.

Podbiał już zakwitł, klajtonia również. Przechodząc obok nich, kobieta powitała je, ale nie znalazła rośliny, której szukała. Zwolniła kroku i wystrzyła wszystkie zmysły. I oto dojrzała ją, przycupniętą u stóp klonu, po jego południowo-wschodniej stronie – błyszcząca masa ciemnozielonych liści, ageratina. Przyklękła, uśmiechając się, i przemówiła do niej cicho. Pomyślała o zbliżającej się podróży, o pustej torebce w kieszeni, a potem powoli się podniosła. Choć w jej wieku dokuczały jej już kolana, poszła dalej, powstrzymując się od zerwania pierwszej napotkanej rośliny.

Wędrowała przez las, podziwiając trójlist dopiero podnoszący głowę. I dziki czosnek. Ale nie napotkała już więcej ageratiny.

– Stwierdziłam po prostu, że będę musiała się bez niej obejść. Byłam w połowie drogi do domu, kiedy odkryłam, że zgubiłam łopatkę, której używam do wykopywania roślin. Więc musiałam zawrócić. Znalazłam ją bez problemu – ma czerwony trzonek, więc od razu rzuciła

mi się w oczy. I wiesz co? Wypadła mi z kieszeni prosto na skrawek ziemi porośnięty ageratina. Więc zwróciłam się do tej rośliny tak, jak do osoby, która może pomóc, a ona dała mi trochę siebie. Kiedy dotarłam do celu swojej podróży, czekała tam na mnie, jak można się było spodziewać, kobieta, która potrzebowała tego ziela, i mogłam jej przekazać ten dar. Ageratina przypominała mi, że jeśli będziemy zrywać rośliny z szacunkiem, one nam pomogą.

Wytyczne Odpowiedzialnych Zbiorów nie zostały nigdzie spisane, trudno je nawet spotkać ~~zebrane w całość~~ – przenikają natomiast drobne, codzienne gesty. Ale jeśli by je spisać, brzmiałyby następująco:

Poznaj dobrze tych, co dbają o ciebie, byś i ty mógł o nich zadbać.  
Przedstaw się. Weź odpowiedzialność za to, że jesteś tym, który przychodzi prosić o życie.

Zanim je weźmiesz, poproś o pozwolenie. I uszanuj odpowiedź.  
Nigdy nie zbieraj pierwszego napotkanego okazu. Nigdy też nie bierz ostatniego.

Bierz tylko to, czego potrzebujesz.

Bierz tylko to, co zostało ci ofiarowane.

Nigdy nie bierz więcej niż połowę. Zostaw coś dla innych.

Czyń to w sposób, który minimalizuje szkodę.

Użyj z szacunkiem. Nigdy nie marnuj tego, co zebrałeś.

Podziel się.

Podziękuj za to, co dostałeś.

Ofiaruj dar jako wyraz wdzięczności za to, co zebrałeś.

Dbaj o życie tych, dzięki którym żyjesz, a dary ziemi nigdy się nie wyczerpią.

Stanowe wytyczne dotyczące polowań i zbierania roślin odnoszą się wyłącznie do sfery biofizycznej, podczas gdy u podstaw zasady Odpowiedzialnych Zbiorów leży odpowiedzialność przed światem zarówno fizycznym, jak i metafizycznym. Odebranie życia innej istocie,

by samemu przeżyć, ma o wiele większą wagę, kiedy traktuje się te istoty jako osoby, które wprawdzie nie są ludźmi, ale tak jak oni są obdarzone świadomością, inteligencją, duchem – i mają rodziny czekające na nie w domu. Zabicie „kogoś” wiąże się z czymś innym niż zabicie „czegoś”. Jeśli traktujesz osoby niebędące ludźmi jako swoich krewnych, obowiązuje cię inny zestaw przepisów dotyczących zbiorów i łowów, które wykraczają poza limity odstrzału i okresy ochronne zwierząt.

Przepisy stanowe są w zasadzie katalogiem nielegalnych praktyk: „Złowienie pstrąga tęczowego, którego długość od pyska do płetwy ogonowej nie przekracza trzydziestu centymetrów, jest niezgodne z prawem”. Konsekwencje złamania prawa są wyraźnie określone i wiążą się z karą finansową nałożoną po rozmowie z sympatycznym strażnikiem ochrony przyrody.

W przeciwieństwie do przepisów stanowych Odpowiedzialne Zbiory nie są odgórnie narzuconymi nakazami, za których złamanie grożą konsekwencje prawne, choć także są umową – między ludźmi, a zwłaszcza między konsumentami a dostawcami. Dostawcy mają przewagę. Jeleń, jesiotr, owoce leśne i dziki czosnek mówią: „Jeśli będziecie przestrzegać tych zasad, będziemy nadal oddawać nasze życie, abyście mogli żyć”.

Wyobraźnia jest jednym z naszych najpotężniejszych narzędzi. To, co sobie wyobrażamy, może się ziścić. Ja lubię sobie wyobrażać, co by było, gdyby Odpowiedzialne Zbiory były obecnie obowiązującym prawem, tak jak w przeszłości. Wyobraźcie sobie, że deweloper szukający działki pod budowę centrum handlowego musiałby poprosić kwiaty, ptaki i motyle o zgodę na przejęcie ich domu. I co by było, gdyby musiał uszanować odpowiedź? Dlaczego by nie?

Wyobrażam też sobie załaminowany dokument, podobny do tego, który wręcza moja przyjaciółka urzędniczka wydająca pozwolenia, z wytłoczonymi zasadami Odpowiedzialnych Zbiorów. Wszyscy podlegaliby tym samym prawom, ponieważ byłyby one nakazami prawnego rządu – demokracji gatunków, prawami Matki Natury.

Kiedy pytam członków naszej starszyny o to, jak żyli nasi przodkowie, by utrzymać świat w dobrym stanie, słyszę od nich o nakazie zbierania i łowienia tylko tego, czego naprawdę potrzebujemy. Ale my, ludzie, potomkowie Nanabozho, podobnie jak on mamy problem z zachowaniem umiaru. Nasze potrzeby są tak mocno splecione z naszymi zachciankami, że kiedy słyszymy, że możemy wziąć to, czego potrzebujemy, otwiera się przed nami szerokie pole do interpretacji.

Ta szara strefa podlega wówczas zasadom bardziej pierwotnym niż potrzeba, dawnym naukom niemal zapomnianym w zgiełku przemysłu i technologii. Ta starożytna reguła, głęboko zakorzeniona w kulturach wdzięczności, głosi nie tylko, że możemy zebrać i upolować jedynie to, czego potrzebujemy, ale jednocześnie, że wolno nam wziąć jedynie to, co zostało nam podarowane.

Na poziomie interakcji międzyludzkich już to robimy. Tego właśnie uczymy nasze dzieci. Jeśli odwiedzamy ukochaną babcię, a ona częstuje nas własnoręcznie upieczonymi ciasteczkami na swoim ulubionym porcelanowym talerzyku, wiemy, co robić. Przyjmujemy je, dziękując po wielokroć, i pielęgnujemy więc umocnioną cynamonem i cukrem. Z wdzięcznością bierzemy to, co zostało nam dane. Ale nikomu z nas nie przyszłoby do głowy włamać się do jej spiżarni, zabrać wszystkie ciasteczka i porwać na dokładkę porcelanowy talerzyk. Byłoby to co najmniej naruszenie dobrych manier, zdrada przepięknej miłości relacji. Co więcej, takie zachowanie złamałoby babci serce i nie byłaby już skłonna upiec dla nas niczego.

Nasza kultura nie wydaje się jednak zdolna do tego, by rozszerzyć obowiązki dobrych manier na świat przyrody. Łupieżcza polityka stała się sposobem na życie – bierzemy to, co nie należy do nas, i niszczymy tak, że nie da się już tego naprawić: jezioro Onondaga, piaski bitumiczne Alberty, lasy deszczowe Malezji – można by wymieniać bez końca. To są dary od naszej kochanej Babci Ziemi, które bierzemy bez pytania. Jak zatem wrócić do idei Odpowiedzialnych Zbiorów?

Jeśli zbieramy owoce czy orzechy, przyjmowanie tylko tego, co zostało nam dane przez naturę, ma sens. One same się nam ofiarują

i przyjmując je, spełniamy nasz obowiązek wobec nich. W końcu rośliny wytworzyły je w wyraźnym celu, abyśmy je zerwali i by mogły się w ten sposób rozprzestrzenić i wyrosnąć w nowym miejscu. Nasze wykorzystanie ich darów sprzyja rozwojowi gatunku i jednocześnie umacnia życie. Ale co z sytuacją, gdy trudno zauważyć obopólną korzyść, kiedy któraś strona traci?

Jak możemy odróżnić to, co daje nam ziemia, od tego, czego nam nie daje? Kiedy korzystanie z jej darów staje się kradzieżą? Myślę, że nasi mędrcy powiedzieliby, że nie ma jednej odpowiedzi, że każdy musi znaleźć swoją własną drogę. Wędrując z tym pytaniem, trażałam zarówno w ślepe zaułki, jak i na rozległe polany. Rozpoznanie znaczenia wszystkiego jest jak przedzieranie się przez gęste zarośla. Czasami udaje się dostrzec na ziemi niewyraźne ślady jelenia.

Jest sezon polowań, mglisty październikowy dzień, liście koloru ciemnego złota łagodnie opadają w dół. Siedzimy na werandzie jadalni w Onondadze i słuchamy opowieści zebranych mężczyzn. Jake, z czerwoną bandaną na głowie, rozśmiesza wszystkich historią o swoim synu, który naśladuje gulgotanie indyka. Kent, z wyciągniętymi nogami opartymi o poręcz i czarnym warkoczem zwisającym nad oparciem krzesła, opowiada o tym, jak podążał za śladem krwi po świeżym śniegu i jak śledził niedźwiedzia, który mu uciekł. W przeważającej części są to młodzi mężczyźni, którzy dopiero budują swoją reputację, oraz jeden starszy.

Nadchodzi czas na opowieść Orena, mężczyzny w czapce bejsbolowej Seventh Generation i z cienkim szarym kucykiem, który prowadzi nas przez zarośla i wąwozy do miejsca, gdzie najbardziej lubi polować. Uśmiechając się do siebie, mówi:

– Tego dnia widziałem chyba dziesięć jeleni, ale oddałem tylko jeden strzał. – Odchyła się na krześle i spogląda na wzgórze, wspominając tamten dzień. Młodzi mężczyźni słuchają uważnie ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Pierwszy przeszedł z chrzęstem przez suche liście, ale zasłoniły mi go zarośla, gdy zbiegał po stoku. Nie widział mnie. Potem zbliżył się do mnie młody samiec i stanął za głazem.

Mógłbym pójść za nim na drugą stronę potoku, ale wiedziałem, że to nie ten. – Opowiada o kolejnych spotkaniach tamtego dnia, podczas których nawet nie podniósł karabinu: łania nad strumieniem, rogacz ukryty za lipą, za to z odsłoniętym zadem. – Zawsze biorę ze sobą tylko jedną kulę – dodaje.

Młodzi mężczyźni w T-shirtach siedzący na ławce naprzeciwko niego pochylają się do przodu zafascynowani.

– A potem, jak gdyby nigdy nic, jeden wychodzi prosto na polanę i patrzy mi w oczy. On doskonale wie, że tam jestem i co tam robię. Obraca się bokiem w moją stronę, nadstawia do strzału. Wiem, że to on, on też to wie. Potem jakby skinął głową, ja również. Dlatego zawsze mam przy sobie tylko jedną kulę. Czekam na tego właściwego. Poświęcił się dla mnie. Właśnie tego mnie nauczono: weź tylko to, co zostało ci ofiarowane, i potraktuj to z szacunkiem. – Oren przypomina swoim słuchaczom: – Dlatego dziękujemy jeleniowi jako przywódcy zwierząt za to, że tak hojnie żywi ludzi. Szacunek dla tych, którzy się ofiarowują, byśmy mogli przetrwać, i życie w sposób, który wyraża naszą wdzięczność, to siła utrzymująca świat w ruchu.

Odpowiedzialne Zbiory nie wymagają od nas zdolności fotosyntezy. Nie mówią „zostaw”, ale pokazują, co powinniśmy wziąć. To nie jest lista zakazów, ale powinności. Powinno się jeść etycznie pozyskane jedzenie i celebrować każdy jego kęs. Powinno się używać technologii, które minimalizują szkody. Brać to, co zostało ofiarowane. Ta filozofia reguluje nie tylko zasady przyjmowania pożywienia, ale także innych darów Matki Ziemi – powietrza, wody i jej prawdziwego ciała: skały, gleby i paliwa kopalnych.

Wydobywanie zakopanego głęboko węgla, które się wiąże z nieodwracalnymi szkodami, narusza wszystkie zasady tego kodeksu. Węgiel nie został nam „podarowany”. Musimy wyrzucić krzywdę ziemi i wodzie, aby go wyrwać z Matki Ziemi. Co by było, gdyby kompania węglowa planująca założenie kopalni odkrywkowej w prastarych Appalachach była zmuszona przez prawo do przyjmowania tylko tego,

co ofiarowuje jej natura? Nie macie ochoty wręczyć im załaminowanego dokumentu i ogłosić, że zasady się zmieniły?

Nie oznacza to, że nie możemy korzystać z potrzebnej nam energii, ale że uczciwie bierzemy tylko to, co Matka Ziemia daje nam sama. Wiatr wieje każdego dnia, każdego dnia świeci słońce, każdego dnia fale rozbijają się o brzeg, a ziemia pod naszymi stopami oferuje swoje ciepło. Możemy postrzegać te odnawialne źródła energii jako coś, co zostało nam ofiarowane, ponieważ są to siły, które stymulowały życie na tej planecie od samego początku jej istnienia. Nie musimy niszczyć ziemi, aby z nich skorzystać. Energia słoneczna, wiatrowa, geotermalna i pływowa – tak zwana czysta energia – kiedy się jej używa mądrze, pozostaje zgodna z prawnymi zasadami Odpowiedzialnych Zbiorów.

A kodeks we wszystkich kwestiach dotyczących darów Matki Ziemi, w tym pozyskiwania energii, może wymagać odpowiedzi na pytanie, czy nasz cel był godny tego daru. Jeleń Orena oddał skórę na buty i nakarmił trzy rodziny. Do czego zatem wykorzystamy energię?

Kiedyś wygłosiłam wykład zatytułowany *Kultury wdzięczności* na małej prywatnej uczelni, gdzie najniższe chesne wynosiło czterdzieści tysięcy dolarów. Przez przydzielone mi pięćdziesiąt pięć minut rozprawiałam o Mowie Dzięczynnej ludu Haudenosaunee, tradycji potlacz na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku i kulturze darów w Północy. Potem przyszła kolej na indiańską opowieść o czasach, w których zbiory kukurydzy były tak obfite, że spichrze wypełniły się nią po brzegi. Pola tak hojnie obdarowywały wieśniaków, że ludzie właściwie nie musieli pracować. Więc przestali. Motyki leżały beczynnie oparte o drzewo. Ludzie rozleniwili się do tego stopnia, że podczas ceremonii kukurydzy nie zaśpiewali ani jednej pieśni dziękczynnej. Zaczęli traktować kukurydzę w sposób, o którym na pewno nie myślały Trzy Siostry, gdy ofiarowały ją ludziom jako święty dar pożywienia. Używali jej jako opału, kiedy nie chciało im się ścinać drewna. Psy wyciągały ją z bezładnych stosów, na które ludzie ją rzucali,

zamiast przechowywać plony w bezpiecznych spichrzach. Nikt nie powstrzymywał dzieci, gdy bawiły się kolbami, kopiąc je niczym piłkę.

Zasmucona brakiem szacunku, Kukurydza postanowiła odejść i udać się tam, gdzie zostanie doceniona. Na początku ludzie nawet tego nie zauważyli. Ale w następnym roku pola porosły zwykłe chwasty. Spichrze były niemal puste, a ziarno pozostawione bez opieki spleśniało i nadgryzły je myszy. Nie było nic do jedzenia. Ludzie siedzieli pogrążeni w rozpacz i chudli w oczach. Kiedy porzucili wdzięczność, dary porzuciły ich.

Jedno małe dziecko opuściło wioskę i wędrowało przez wiele dni o głodzie, dopóki nie znalazło Kukurydzy na zalanej słońcem leśnej polanie. Błagało ją, aby wróciła do swego ludu. Ta uśmiechnęła się do niego uprzejmie i poinstruowała go, by nauczył ludzi z wioski wdzięczności i szacunku, o których zapomnieli. Dopiero wtedy będzie mogła wrócić. Chłopczyk zrobił, co nakazała, i po ciężkiej i głodnej zimie, która miała przypomnieć ludziom o cenie ich postępowania, Kukurydza wróciła do nich na wiosnę\*.

Kilkoro studentów siedzących na sali ziewało. Coś takiego nawet nie mieściło im się w głowach. Półki w sklepach spożywczych zawsze uginają się od towarów. Na bankiecie po wykładzie napełniali swoje styropianowe talerzyki tym, co zwykle. Wymienili kilka uwag, trzymając w rękach plastikowe kubki z ponczem. Studenci przegryzali ser i krakersy, zanurzali świeże warzywa w pojemniczkach z dipami. Jedzenia było tam tyle, że można by nakarmić małą wioskę. Resztki wyrzucano do koszy na śmieci, dla wygody ustawionych obok stolików.

Śliczna młoda dziewczyna z ciemnymi włosami przewiązanymi chustką stała z boku i czekała na swoją kolej. Kiedy prawie wszyscy wyszli, podeszła do mnie, wskazując z przeproszącym uśmiechem na resztki z bankietu.

\* Ta historia znana jest na obszarze całego kraju. Jedną z wersji opowiedział Joseph Bruchac w: M.J. Caduto, J. Bruchac, *Keepers of Life: Discovering Plants through Native American Stories and Earth Activities for Children*, Golden 1995.

– Nie chcę, żeby pani myślała, że nikt nie rozumie, o czym pani mówi – powiedziała. – Ja rozumiem. Mówi pani jak moja babcia z tureckiej wioski. Powiem jej, że chyba ma siostrę tutaj, w Stanach Zjednoczonych. Odpowiedzialne Zbiory to też jej sposób życia. W domu babci dowiedzieliśmy się, że wszystko, co wkładamy do ust, wszystko, co pozwala nam żyć, jest darem z innego życia. Pamiętam, jak przed snem kazała nam podziękować krokwiom podtrzymującym dach i wełnianym kocom, pod którymi spaliśmy. Nie pozwalała nam zapomnieć, że to wszystko są dary i dlatego trzeba o nie dbać, aby okazać szacunek dla życia. W domu u babci uczono nas całować ryż. Gdy choć jedno ziarenko spadło na ziemię, mieliśmy je podnieść i ucałować, aby pokazać, że nie chcieliśmy okazać braku szacunku, marnując go.

Dziewczyna wyznała mi, że kiedy przyjechała do Stanów, największym szokiem kulturowym, jakiego doświadczyła, nie był język, jedzenie ani technologia, ale marnotrawstwo.

– Nigdy wcześniej nikomu tego nie mówiłam – oznajmiła mi. – Ale na stołówce czułam się potwornie z powodu tego, jak ludzie traktowali jedzenie. To, co wyrzucano po obiedzie, wyżywiłoby moją wioskę przez kilka dni. Z nikim nie mogłam o tym porozmawiać. Nikt inny nie zrozumiałby całowania ziarenka ryżu.

Podziękowałam jej za te słowa, a ona dodała:

– Proszę, niech pani je weźmie jako dar ode mnie i przekaże innym.

Mówiono mi, że czasami w zamian za dary ziemi nasza wdzięczność wystarcza. Zdolność do dziękowania to wyjątkowy ludzki dar, ponieważ mamy świadomość i pamięć zbiorową, która przypomina nam, że świat równie dobrze mógłby wyglądać inaczej, być mniej hojny, niż jest. Ale wydaje mi się, że teraz sytuacja wzywa nas do tego, by wyjść poza kulturę wdzięczności i wrócić do kultury wzajemności.

Carol Crowe, algonkińską ekolożkę, poznałam na spotkaniu dotyczącym indiańskich modeli zrównoważonego rozwoju. Opowiedziała mi, jak jej rada plemienna zbierała fundusze, by mogła ona wziąć udział w tej konferencji. Zapytali ją:

– O co chodzi z tym całym zrównoważonym rozwojem? O czym oni mówią?

Carol w skrócie przedstawiła im standardowe definicje tego pojęcia, w tym kwestie związane z „zarządzaniem zasobami naturalnymi i instytucjami społecznymi w taki sposób, by zapewnić osiągnięcie i ciągłe zaspokajanie ludzkich potrzeb dla obecnych i przyszłych pokoleń”.

Przez chwilę milczeli i rozważali to, co im powiedziała. Wreszcie jeden ze starszych odezwał się:

– Dla mnie brzmi to tak, jakby oni chcieli po prostu móc dalej brać tak samo, jak do tej pory. Im zawsze chodzi o branie. Pojedź tam i powiedz im, że w naszej tradycji nie koncentrujemy się na myśleniu o tym, co możemy wziąć, ale co możemy dać Matce Ziemi. Tak to powinno wyglądać.

Odpowiedzialne Zbiory wymagają od nas rewanżu, odwzajemnienia tego, co otrzymaliśmy. Dawanie czegoś wartościowego, co przydaje się tym, dzięki którym żyjemy, pomaga nam poradzić sobie z moralnym dylematem związanym z odbieraniem życia. Jednym z naszych obowiązków jako ludzi jest znalezienie sposobu na nawiązanie więzi nie tylko z ludzkim światem. Możemy to zrobić poprzez wdzięczność, rytuały, mądre gospodarowanie ziemią, naukę, sztukę, a także codzienne drobne gesty przepełnione szacunkiem.